



Postój ryksz na
pl. Żelaznej Bramy.
Archiwum WBBH

Były i inne „wpadki”. Na przykład już w samym szczycie przygotowań, w lipcu 1944, „Sławicz” kazał mi wraz z „Kordianem” odwiedzić riksę partię broni przeznaczoną dla jednego z plutonów naszego batalionu, gdzieś w okolicy ulicy Litewskiej. Naładowaliśmy „towar” na riksę. Kordian pedałowal, ja siedziałem przed nim. Pod workiem miałem kolbę „Schmeissera” w ręku, tak na wszelki wypadek. Musieliśmy przejeżdżać pod moim domem. Matka była akurat na balkonie. Ponieważ nie widziała mnie od kilku dni, była o mnie już niespokojna. I Ona, zdawałoby się, że taka wytrawna konspiratorka, popełniła wtedy okropną gafę! Zawołała do mnie po imieniu z balkonu! Oblał mnie zimny pot! Udałem, że nic nie słyszę, że to nie do mnie wołają! „Kordian” naciskał pedały! Musieliśmy przystanąć, bo akurat nadjechała kolejka EKD. My stoimy, patrol żandarmerii też sobie stoi. Rozglądają się po balkonach, kto i do kogo woła? Wszystko skończyło się szczęśliwie. Ruszyliśmy nie zatrzymani przez nikogo.

Na dwa czy też trzy tygodnie przed Powstaniem „Sławicz” zaangażował mnie i „Tadeusza” do poważnej tym razem akcji. Wynajął platformę konną i udaliśmy się na ulicę Królewską 16 po transport granatów, tzw. „filipinek”. Brama domu Królewska 16 się przed nami otworzyła, platforma wjechała tyłem, brama się za nami zamknęła i w dość ciemnym tunelu bramy zaczęto załadunek. Nikogo nie widzieliśmy, nikogo nie słyszeliśmy. Wszystko odbywało się cicho i sprawnie. Po zakończeniu załadunku wypuszczono nas. „Sławicz” jechał obok furmana, ja szedłem za platformą prawą stroną ulicy, „Tadeusz” po stronie przeciwnej. Trasa biegła Placem Grzybowskim, Twardą do Srebrnej. Musieliśmy bardzo uważać!

To była poważna sprawa. Na platformie przecież znajdowało się prawie trzy tony granatów! Gdyby wybuchła strzelanina musielibyśmy z „Tadeuszem” wziąć na siebie całe zajście, tak aby platforma mogła spokojnie się oddalić. Tak to było zresztą ustalone. Przecież te granaty nie mogły wybuchnąć! Ległyby w gruzach okoliczne domy! To byłby gigantyczny wybuch! Biedny furman nie zdawał sobie sprawy z tego co wiezie. I w takiej to, pełnej napięcia sytuacji, ja nie mogłem opanować śmiechu. Co za miny i ruchy wykonywał ten biedny „Tadeusz”! Jakby go pchły oblaży, albo co najmniej spodnie opadały. Wszystkiemu był winien pistolet Colt, ten największego kalibru, „dwunastkę” zwany. Była to ciężka i duża spluwa. Nie nadawała się zupełnie do noszenia za paskiem od spodni. Wciąż mu uciekał do dołu. „Tadzio” chwytal się za brzuch, wykrzykiwał twarz z przestachu i złości. Przechodnie patrzyli na niego ze współczuciem. Tego tylko brakowało, żeby jakaś litościwa osoba chciała mu ulżyć i zapytała „co ci to dolega chłopczyku”? Doszedł wreszcie do wniosku, że nie ma innego wyjścia, jak trzymać tego drania pod marynarką za kolbę. Dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia szczęśliwie. Tam już czekano na nas. Rozładunek z platformy przebiegał sprawnie. Tylko pod sam koniec, czyjeś zmęczone ręce wypuściły jedną puszkę na ziemię (to, jak głosiła etykieta w języku niemieckim, miały być landrynki). Parę granatów ładnie zawiniętych w bibułki, potoczyło się w kierunku sąsiedniej platformy, która stała pod rozładunkiem przy innym magazynie. Na tej platformie stał sobie niemiecki żandarm i spokojnie patrzył, jak pod same jego nogi toczą się granaty polskiej produkcji. Musiał być bardzo zamyślony! Nic nie zauważył i zabrał się spokojnie do pracy. Ten transport był ostatnim transportem, jaki przyjęto do magazynu. To było uzupełnienie naszego uzbrojenia. Nic już prawie nie było na składzie. Pozabierano broń i wyposażenie. Te granaty zaczęto natychmiast rozwozić na punkty alarmowe poszczególnych plutonów. Zrobiło się smutno i pusto. Byliśmy już tu niepotrzebni, pozostało już tylko parę sztuk uzbrojenia, które miało być przeznaczone dla naszego macierzystego plutonu.

W czasie tej całej krzątaniny, jaka cechowała właśnie ten okres przygotowawczy, stała się dla mnie rzecz straszna! Ten to w pełni doceni, kto był w okupowanej przez Niemców Warszawie. Mianowicie zaginęły moje dokumenty! Oczywiście wszystkie! Gdzieś to zostawiłem, ktoś to zniszczył lub wykorzystał w inny sposób. Przestałem chodzić do pracy. Siedziałem w domu, lub przemykałem się do „Sławicza”. Tam odbyłem kilka razy nocne dyżury, które były konieczne ze względu na nadzór i zabezpieczenie magazynu. Wszyscy byli zajęci ważnymi sprawami. Moje dokumenty to sprawa bez znaczenia. Ale jak ja się miałem poruszać po mieście? Tego mi nikt nie wyjaśnił.

Siedzieliśmy tak kiedyś wieczorem w pustym już magazynie u „Sławicza” i dumaliśmy co z tego wszystkiego wyniknie? Będzie Powstanie, czy też nie